

## WSPOMNIENIA Z CZASU WOJNY 1939-1945<sup>1</sup>

Był rok 1942 lub 1943. Nie pamiętam dokładnie. Miałam wówczas cztery czy pięć lat. Cóż może pozostać w pamięci dziecka z czasów wczesnego dzieciństwa, jakże innego od beztroski moich dzieci i wnuków?

Z Krobi zostaliśmy wysiedleni w sierpniu 1940 roku. Nie pamiętam dobrze gehenny obozowej: spania w barłogu i maltretowania Polaków, podróży w bydlęcych wagonach i dziesięciokilometrowej wędrówki do Kopiny. Byłam wtedy zbyt mała. W obozie w Łodzi byliśmy od 26 sierpnia do 15 października 1940 roku. Później trafiliśmy do wspomnianej Kopiny, niewielkiej wsi, jak to się potocznie określa „zabitej deskami”, w ówczesnym Generalnym Gubernatorstwie, w powiecie radzyńskim, w województwie lubelskim.

Tam właśnie krótko po przybyciu z obozu zmarł mój najstarszy braci-szek – Mieczysław, mający wówczas dziewięć lat, który zaraził się dezynterią. Moja mama niosła mnie na rękach wiele kilometrów popychana przez Niemców kolbami karabinów. Wiem o tym z jej opowiadań. Szliśmy z tobołkami, które niesli dziadek Michał i brat Jurek. Dziaduś również trzymał chorego brata, a dwie moje siostry: Barbara i Stefania trzymały się kurczowo spódnicy mamy.

Mamusia miała wówczas trzydzieści dwa lata, pięcioro dzieci. Mimo tej udręki i strachu nie bała się błagać Niemki w obozie o torbę, w której miała jedzenie dla swojej piątki. Troska o nas dodawała jej odwagi i sił. Mimo śmierci pierworodnego syna nie traciła nadziei, że wojna się skończy i wrócimy w rodzinne strony. Przez cały czas wysiedlenia mieszkaliśmy w prymitywnych warunkach. W dziecięcej wyobraźni dworek w Kopinie kojarzył się z domem. Często siadając pod drzewem, wyobrażałam sobie, że jestem w domu rodzinnym w Krobi.

Mama często opowiadała nam o pozostawionym domu i naszym dziecięcym pokoju. Siadała wówczas przy kuchennym stole i na udeptanej glinie (ponieważ nie było podłogi) rysowała nasz stolik na posiłki, meble, duży zegar i inne przedmioty.

W Krobi tata prowadził sklep galanteryjno-bawełniany. Niestety, dziadek Michał został wysiedlony razem z nami. Babcia Barbara została sa-

---

<sup>1</sup> Tekst do druku przygotowała Jadwiga Krystkowiak.

ma. Często chorowała, zamieszkała u swoich krewnych. Tata przebywał w tym czasie w szpitalu. Kiedy Niemcy wyrzucali nas z domu, pojechała z nami na poniewierkę jeszcze siostra taty i nasza służąca Stasia. Wkrótce zostały one od nas oddzielone i zabrane do Niemiec, na roboty.

Gdy miałam pięć lat, znałam już litery i cyfry. To zasługa rodziców, którzy nas uczyli. Ja z resztą rodzeństwa biegałam do szkoły. Przebywali w niej uczniowie mający od siedmiu do czternastu lat, gdyż była to dwuklasówka mieszcząca się w jednej izbie lekcyjnej. Cieszyłam się, że mogłam czytać czytanki. Tytuły tych opowiadań i ich treść pamiętam do dziś. Były to *Piast i Rzepicha* oraz wiersze Marii Konopnickiej. My, dzieci, uczyliśmy się ich na pamięć. Szczególnym sentymentem darzyłam utwór *W naszym starym dworze*.

W wolnym czasie, oprócz czytania, zajmowałam się szyciem gałganekowych laleczek, którym oczka i buzie zaznaczałam kłopotliwym ołówkiem. Zapamiętałam, jak zbierałyśmy w lesie chrust. Mamusia piekła chleb, którego smak i wygląd pamiętam do dziś. Chodziliśmy do lasu zbierać jagody i grzyby, a na pole – pozostawione kłosa zbóż, z których łuskaliśmy ziarno. Potem miało się je i z tej „śruty” piekło ulubiony chleb.

Po czterech miesiącach pobytu w Generalnym Gubernatorstwie przyjechał do nas tatuś. Do dziś nie wiem, jak mu się to udało. Przywiózł nam meble i potrzebną garderobę. Po jego przyjeździe nieco lepiej nam się powodziło, ponieważ umiał mówić po niemiecku. Często stawał w obronie sąsiadów i mieszkańców okolicznych wiosek, broniąc ich przed Niemcami.

Tato, wraz z innymi mężczyznami ze wsi, kopał schrony. Schodziliśmy do nich pod drabinie w czasie nalotów bombowych. Kilometr od Kopiny znajdowało się lotnisko często bombardowane, dlatego musieliśmy się ukrywać. Schrony te były dołami o wymiarach 2 x 2 m. Staliśmy w nich całe noce, zmarznięci, nieraz i po kostki w wodzie. Dziadek pozostawał w domu. Mawiał: „Jak ma mnie bomba trafić, to i tu znajdzie”.

Ludzie w Lubelskiem byli bardzo serdeczni. Nie wstydzi się swojej biedy, nieumiejętności czytania i pisania, a potrafili wszystkim się dzielić. Nauczyli nas pieczenia placków z kwiatów akacji, pierogów z marchwią i przygotowywania zupy z brukwi.

Zimy na wschodzie były mroźne i śnieżne. Nie dało się wyjść na dwór po śnieżycy, bo zasypywała drzwi. Wówczas my, dzieci, cieszyliśmy się, że nie było lekcji. Pan Rosiński, nasz nauczyciel, należał do Armii Krajowej i był śledzony przez Niemców. Często ukrywał się. Wówczas zajęcia też się nie odbywały. Zaś zimową porą lekcje prowadzone były w domu. Nie wiedziałyśmy, co to sanki i łyżwy, bo ich nie miałyśmy.

Wieczorami siedzieliśmy przy chlebowym piecu i słuchaliśmy opowiadań dziadka Michała i dziadka Fijewskiego, który walczył pod Smoleńskiem z bolszewikami. Pałac fajkę, ciekawie opowiadał o przeżyciach wo-

jennych. Dziadek Fijewski był teściem dobrej i kochanej Ludwiki Fijewskiej, mamy Miecia i Tadzia. Mietka mało pamiętam, a Tadzio to mój najlepszy kolega. Biegałam często „zapłotkami” do ich domu. Pamiętam tę drogę przez ogródki, którymi dostawałam się do domu pani Fijewskiej. Ten dom utkwił mi bardzo w pamięci. W wąskim korytarzu stało mleko, z którego zbierało się śmietaną. Była ona gęsta, smarowało się nią chleb i posypywało cukrem. Ja mówiłam: „Też bym chciała chlebka ze śmietaną i cukrem”. I zawsze dostawałam. Gdy wracałam do domu, mamusia poznawała po „białych wąsikach”, gdzie byłam i co jadłam.

Nie mogę zapomnieć jednego strasznego wydarzenia. Pewnego dnia przyjechali do naszej wsi żołnierze na motorach i oznajmili mieszkańcom, że wszyscy będą wymordowani, bo w sąsiedniej wiosce partyzanci zabili Niemca. Ja ze starszą o dwa lata Stenią strasznie płakałyśmy, modliłyśmy się, a potem poszłyśmy do szopki, która była połową naszego domu. Tam stał pieńek do rąbania drewna i my, kładąc na nim głowy, tak sobie wyobrażałyśmy mordowanie przez okupanta. Dla nas skończyło się tylko na strachu, ale rozstrzelano jednak kilku mężczyzn z sąsiedniej wsi.

Takie warunki i taka atmosfera nauczyły nas wytrzymałości i odporności na biedę, strach i głód. Wysiedlenie i pobyt w obozie nauczyły przede wszystkim dzielenia się z innymi ludźmi tym, co mieliśmy.

Muszę jeszcze wspomnieć o chorobie Basi. Nabawiła się jej w obozie, gdzie przebywaliśmy prawie trzy miesiące. Basia była zmizerowana i blada. Pewnego dnia, przymierzając niebieską sukienkę do I Komunii Świętej, zemdlała. Jej anemia trwała kilka lat. Siostra miała organizm wyniszczony przez pasożyty. O zatruciu się nimi nie było trudno, kiedy w bydłowych wagonach staliśmy w nieczystościach, z ograniczonym dostępem do powietrza.

Był już lipiec 1944 roku. Upalne lato. Na drogach piach po kostki, który, gdy popadał deszcz, zmieniał się w błoto po kolana. Właśnie w tym lipcu 1944 roku witaliśmy wojsko radzieckie. Staliśmy przy drodze i trzymaliśmy bukietki kwiatków, rzucaliśmy je żołnierzom, dawaliśmy chleb i wodę. Wcześniej widzieliśmy Niemców uciekających w stronę torfowisk, w których grzęzli i to było przerażające. A my radowaliśmy się, że to koniec wojny, że wrócimy do rodzinnego domu. Były też takie dni, kiedy we czwórkę, z bratem Jurkiem na czele, szliśmy szukać „skarbów” po Niemcach. Wcześniej tatuś nas pouczył, że nie wolno dotykać różnych pudełek i porzucanych zabawek, gdyż jest to niebezpieczne i grozi wybuchem. Pewnego razu przytaszczyliśmy spadochron. Niestety, nasza mama nie chciała „pamiątek” po Niemcach i musieliśmy to znaleźć odnieść na poprzednie miejsce.

Minęła piąta mroźna zima. Kończył się marzec 1945 roku. Zaczęliśmy przygotowywać się do wyjazdu z Kopiny. Pociągi nie kursowały, pieszo było za daleko, powstał więc problem, w jaki sposób się ewakuować. Jakimś sposobem nasz ojciec zwerbował okoliczne cztery rodziny i wspólnie zakupi-

liśmy stary traktor z przyczepą. Do niej mama uszyła plandekę z resztek materiału i zaczęliśmy się pakować. Częścią dobytku podzieliliśmy się z sąsiadami. Nastąpiły pożegnania, którym towarzyszyły łzy wzruszenia. Żegnaliśmy ludzi, z którymi żyliśmy pięć lat w nędzy i strachu.

Najbardziej zżyliśmy się z panią Fijewską, która po naszym odjeździe opiekowała się grobem naszego braciszka aż do czasu, gdy nie przywieźliśmy jego prochów na cmentarz do Krobi. Przez wiele kolejnych lat utrzymywaliśmy kontakt z Mietkiem Fijewskim i jego żoną. Były później nawet odwiedziny i wspomnienia.

Podróż traktorem z przyczepą trwała dwa tygodnie. Miałam już prawie siedem lat i wiele pamiętam z tego okresu. Spaliśmy w stodołach albo w przyczepie. Nasze mamy gotowały zupy na prowizorycznie zrobionych ogniskach. Utkwiły mi w pamięci takie obrazy, jak na przykład wysiadanie z przyczepy przed przejazdem przez trzęsące się mosty na rzekach, kiedy kierowca żegnał się znakiem krzyża i przejeżdżał, a my „gęsiego” przechodziliśmy na drugą stronę. Drugi zapamiętany obrazek to widok zniszczonej Warszawy. Oglądaliśmy ją przez wydrążone w plandecce dziurki. Mam przed oczami zgliszcza, ruiny i ludzi handlujących na ulicznych straganach, starszego pana kopiącego łopatą w ruinach, pewnie szukającego pamiątek po rodzinnym domu. My tymczasem mieliśmy apetyt na obwarzanki, lecz pojechaliśmy dalej, niczym Cyganie pod pozszywaną z resztek plandeką, i nie mogliśmy się zatrzymać.

Tak dojechaliśmy do Gostynia. Tu zatrzymaliśmy się u państwa Prywerów. Dostaliśmy obiad, wykąпалиśmy się i czekaliśmy na przyjazd wujka, brata mamusi. Przyjechał po nas bryczką i tak dotarliśmy do Krobi. Najpierw pojechaliśmy do naszego domu. Babcia Basia stała na progu, a my bieглиśmy witać się z nią. Chcieliśmy zwiedzić nasz dom. Zastaliśmy same pustki, tylko podłogi i ściany. Bez jakichkolwiek sprzętów. Czego nie zarekwirowali Niemcy, zabrali „szabrownicy”. Tatuś zdołał odnaleźć trochę rzeczy, które babcia przechowała u krewnych. Nie było tego wiele. Powoli jednak wszystko wracało „do normalności”.

Niebawem mama zaprowadziła nas do szkoły. Miałam od września iść do pierwszej klasy. Pani Niemierowa, późniejsza wychowawczyni aż do ósmej klasy, zapytała mnie, czy umiem czytać i pisać. Pan kierownik Kokościński i inni nauczyciele przygotowali dla nas egzamin. Wypadliśmy dobrze, a ja czytałam głośno i wyraźnie tekst z podanej czytanki. Dobrze dodawałam i odejmowałam. I tak, mając siedem lat, poszłam do pierwszej klasy.

Teraz, z perspektywy tylu lat, widzę nędzę ludzi w krajach, w których są prowadzone wojny, dostrzegam krzywdę dzieci i przypominają mi się tamte ciężkie dni. Żał mi straconego dzieciństwa, kiedy powinniśmy się bawić i żyć bez troski. Na wygnaniu spędziliśmy pięć długich lat.

Dziękuję moim Rodzicom, którzy już nie żyją, za bezgraniczne poświęcenie się dla obrony naszego życia i zdrowia w tych okrutnych czasach nędzy i upodlenia.

